



PISMO NIEDZIELNE DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

W WARSZAWIE:
Rocznie . . . rs. 1 k. 80 (Złp. 12).
Półrocznie „ — „ 90 (Złp. 6).
Kwartalnie „ — „ 45 (Złp. 3).

NA PROWINCYI W KRÓLESTWIE:
Rocznie . . . rs. 2 k. 42 (Złp. 16 g. 4).
Półrocznie „ „ 1 „ 21 (Złp. 8 „ 2).
Kwartalnie „ — „ 60 (Złp. 4 „ 1).

W CESARSTWIE:
Rocznie (z kopertą) rs. 4 k. 44 (Złp. 29 g. 18).
Rocznie (bez koperty) rs. 2 k. 44 (Złp. 17 g. 8).
Półrocznie, połowa tegoż.

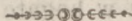
Prenumerować można **ZORZĘ** w Warszawie w Redakcyi Nr. 1582 lit D. uli. Aleje Jerozolimskie, lub w Redakcyi Gazety Polskiej Nr. 619 ulica Daniłowiczowska i we wszystkich Kantorach Gazet, a na prowincyi w Królestwie po Stacyach pocztowych.
TREŚĆ:—Twórcy przemysłu (VII) Stenfonowie;—Narowy i Przesady (Strachy, letarg);—Dziecinne lata (wiersz) A. Sosnowskiego;—Co też słycać w Warszawie? (Nieuczciwe ceny; Bawar; Morderca);—Zagadka.

TWÓRCY PRZEMYSŁU.

VII.

Jerzy i Robert Stenfonowie,

WYNALAZCY PAROWOZÓW.



Czytelników naszych zapoznaliśmy już z kilku mężami, którzy niezrażeni ubóstwem, a umacniani wiarą i zamiłowaniem pracy, stali się pożytecznymi członkami ludzkości, sobie zaś zyskali sławę i wdzięczność współczesnych i potomnych. Po garnarczach: Łukaszu della Robia, Bernardzie Palissymi Wedźwodzie, po Betgierze wynalazcy porcelany, chcemy wam wkrótkości opowiedzieć życie prostego angielskiego węglarza, wynalazcy i twórcy owych dziwnych machin zwanych parowozami lub lokomotywami,

coto z świstem i hukiem, z długą wstęgą buchającego dymu, z ziejącą ogniem paszczą, przebiegają lotem błyskawicy po drogach szynami wyłożonych, ciągnąc za sobą długi szereg ciężko ładowanych wozów.

Otóż budownikiem tych maszyn, któremi niejednen z was odbywał już podróże, inni zaś przynajmniej o nich słyszeli, był Jerzy Stenfon, ubogi robotnik w kopalniach węgla kamiennego w Anglii. Urodzony w 1781 r. był synem dozorczy pompy parowej przy tychże kopalniach. Pierwsze lata życia przepędził Jerzy na zabawach wiekowi dziecinnemu właściwych; później, podrosłszy nieco, nosił obiad ojcu, który nie mógł oddalić się od maszyny poruszającej pompę. W ósmym roku życia pasaniem krów sąsiedniego dzierżawcy zarabiał po 5 kop. dziennie, co go niezmiernie cieszyło, że już nie był ciężarem ojcu, liczną obciążonemu rodziną. Wcześniej, bo już w 9cioletnim chłopcu, budził

się duch samodzielny i umysł do poważniejszych zajęć skłonny. Pasając trzodę, mały Jerzy budował na strumieniu młynki poruszające wodę, lub lepił z gliny i sitowia modele przypominające widziane w kopalniach maszyny. Tak roś, oddany podrzędnym zatrudnieniom, z tą zawsze ulubioną myślą, żeby kiedyś zostać mechanikiem.

Życzenie to po części spełniło się, kiedy w 14 roku życia ojciec wziął go do pomocy w ogrzewaniu pompy parowej. Teraz Jerzy miał sposobność przypatrzeć się z bliska całemu składowi maszyny i jej działaniu, i rzecz dziwna, w trzy lata potem, kiedy ojciec pozostał na swém stanowisku palacza, syn otrzymał posadę mechanika. Nieraz też z uniesieniem mawiał do swych spółtowarzyszy: „Teraz już jestem na dobrej drodze i nie lękam się o przyszłość.”

Na tém wszakże stanowisku Jerzy nie zatrzymał się; chęć udoskonalenia się w obranym zawodzie parła go naprzód, czuł przecież, że bez nauki z książek żaden rzemieślnik w zawodzie swoim nie postąpi, bo w każdym stanie nauka otwiera wrota do dalszego postępu. Pomiedzy robotnikami w kopalniach znajdowali się i umiający czytać i pisać; Jerzy nie zaniedbał korzystać z téj sposobności, słuchał chętnie ich opowiadań, wrażał w pamięć czytane przez nich wiadomości i tém więcej nabierał chęci do książek. Ku temu właśnie nadarzyła się przyjazna sposobność. W poblizkiej wiosce osiadł nauczyciel, co za skromne wynagrodzenie, w godzinach wieczornych wykładał naukę czytania dzieciom fabrycznych robotników. Stefenson zapisał się niebawem w poczet jego uczniów i w 19 roku życia, rozpoczynszy naukę od abecadła, wkrótce w czytaniu, pisaniu i rachunkach prześcignął swoich spółtowarzyszy.

Podzielając czas pomiedzy zatrudnienia obowiązkowe i naukę, Jerzy Stefenson przeżył trzy lata, w końcu których otrzymał miejsce mechanika z płacą 1 funt szterling (40 złp.) tygodniowo. Było to już znakomite uposażenie dla młodzieńca na skromnym dotąd zarobku przestającego. Mimo to Jerzy oszczędny a pilny w pracy, był zawsze wzorem dla innych, bo kiedy wielu z jego współpracowników, niekiedy całotygodniowy zarobek w dni świąteczne na gospodach trwonili, Stefenson wolał przypatrywać się

swój maszynie, przyglądać jej składowi i działaniu, wieczory zaś obracał na uprawianie się w rachunki i pismo. Nauka mechaniki była dlań obcą; wszystko więc zdobywać musiał własną ciekawością i badaniem przyczyn, bo nie miał przewodnika, któryby mu wskazał zasady na nauce oparte.

W tym czasie, to jest w r. 1802, Stefenson posłubił młodą, pracowitą lecz równie jak on ubogą dziewczynę Fanny Hendersen. Odtąd pojmując zwiększone swoje obowiązki, podnosił gorliwość w pracy, tém więcej, gdy w rok potem urodził mu się syn *Robert*, który, jak to w końcu opowiemy, w sławie i znaczeniu zrównał swemu ojcu. Lecz szczęśliwe to stadło Pan Bóg wkrótce rozłączył; po cztero-letniém błogiem pożyciu śmierć zabrała mu ukochaną żonę. Zrażony tym ciosem, Jerzy przeniósł się do Szkocyi, gdzie otrzymał korzystne miejsce mechanika. Wkrótce wszakże miłość synowska zniewoliła go do powrotu w rodzinne strony; bo gdy ojciec jego wypadkiem przy obsłudze maszyny pozbawiony wzroku, został bez sposobu do życia, Jerzy za święty obowiązek uważał wtedy powrócić do Anglii, by dotkniętego taką niemocą starca synowskiem otoczyć staraniem.

Wszystko, co dotąd o Stefensonie powiedzieliśmy, daje nam w nim wzór pracy, łamiącej wytrwale stawiane mu od losu przeszkody, i przedstawia człowieka, który w postępowaniu swoim trzymał się téj prawdy, że każdy z nas dążyć powinien do tego, aby jakieś chwalebne ślady swego bytu na ziemi pozostawił. To zadanie Stefenson zaszczytnie spełnił, a jak do tego przyszedł, dalej opowiemy.

Wspomnieliśmy już, że okolica, w której pracował, obfitowała w bogate kopalnie węgla. Dla prędszego przewozu tak popłatnego paliwa, właściciele kopalń pozakładali koleje żelazne, po których naładowane wozy o żelaznych kołach przeciągano końmi do poblizkiej rzeki, aby ztąd na statkach wodnych wysłać go na sprzedaż do Londynu i innych miast fabrycznych. Ta okoliczność nastreczyła nowy pomysł Stefensonowi. W żywej jego wyobraźni błysnęła myśl, która wprowadzona w wykonanie i z czasem coraz ulepszana, zmieniła, można powiedzieć, całą postać świata. Siła pary, z której pomocą Jerzy podnosił wodę w pompie, lub wydobywał węgiel z głębi kopalni, mogłaby być zaprzęzoną i do

poruszenia stosownego wozu po kolejach szynowych. Wprawdzie przed nim jeszcze inny Anglik Blakett usiłował już w ten sposób parę zużytkować; napotkane wszakże niepowodzenia usiłowania jego uczyniły bezskutecznymi. Pierwszy dopiero Jerzy Stefenson wpadł na praktyczny pomysł budowania lokomotyw czyli parowozów, jakie z małemi ulepszeniami krążą dotąd po kolejach żelaznych. Przypatrzwszy się dokładnie budowie maszyny Blaketta, poznał jój niedostatki, a mianowicie, znaczny koszt budowy, niebezpieczeństwo jazdy i prędkie zużycie szyn. Stefenson zniósłszy się z właścicielami kopalń, przedłożył im wzór ulepszonej przez siebie lokomotywy; jakoż jeden z nich, lord Rawonswort, znajdując pomysł odpowiednim, wyznaczył stosowny fundusz i polecił Stefensonowi zająć się budową swego parochodu.

Nie będziemy tu opisywać, ile trudności przy braku warsztatów i rzemieślników musiał pokonać nasz samorodny mechanik, zanim budowę lokomotywy do skutku przyprowadził, dość że ten nowy parowóz, nazwany *Milord*, wprawiony został w bieg po raz pierwszy d. 25 Lipca 1814 roku. Na próbę maszyna, ciągnąc 8 wagonów z węglem, przebiegła na godzinę 4 mile angielskie. Odtąd lokomotywy Stefensona uważane za najlepsze, a z niemi i koleje żelazne, po całej Anglii, a potem i po całym świecie rozpowszechniać się zaczęły. Z początku służyły one tylko do transportów węgla, wkrótce wszakże zastosowano je do przewozu osób. W tym celu zawiązała się z ludzi bogatych spółka, przedsiębiorca budowę dróg szynowych. Stefenson powołany na inżyniera, we trzy lata od wynalezienia swojej maszyny brał już 1,800 rs. rocznej pensji, a w 1826 r. był już naczelnym inżynierem kolei żelaznej z płacą 6,000 rs.

Nie sama Anglia korzystała ze zdolności Stefensona; inne kraje, jak Belgia, Francja, Hiszpanja i Ameryka powoływały go do siebie do budowy kolei. Stefenson wszędzie z chlubą zadanie swoje spełnił. Zebrane mienie posłużyło mu do nabycia kilku kopalń węgla i założenia fabryki machin. Powszechnym otoczony szacunkiem umarł d. 12 Sierpnia 1848 r. w majątności swój pod Czesterfild. Wdzięczni spółrodacy pamięć jego uczcili spiszowym pomnikiem w mieście Njukesl (Newcastle). O synu i jego Robercie powiemy w następnym numerze.

Ad. Gr.

O NAROWACH I PRZESĄDACH LUDU

NASZEGO.

IV.

Upiory, strachy, śmierć pozorną.

(Opowiadanie.)

—→→→→→

Czemże się wydać musi skromna, a poważna postać plebana pośród ludu wiejskiego? Lud nasz rzucony jak sierota od pierwszej młodości na los ślepy, zdala od ogniska oświaty i towarzyskiego ukształcenia zatechnąłby w grubiej niewiedomości, popadł w błędy, a posuwając się na drodze moralnego skażenia, zeszedłby z czasem niżej nierozumnego bydła, a przez to okrył się sromotą i wzgardą.

Jakież to więc niezem niezastąpione a prawdziwie Boskie dzieło religii Chrystusa, która itych porzuconych na rozstaju dróg, ślepych i chromych zaprasza, i owszem przymusza moralnie wnijsć na gody niebieskiego gospodarza, posadza zarówno z drugimi przy stole Boskiej biesiady, podaje *chleb żywota, napój zbawienia*.

— Tak się to rozumie, ludkowie moi, mówił ksiądz Świętosław, objaśniając ludowi swojej parafii ową przypowieść ewangeliczną o zaproszonych na gody; bo gdy ci przyjść nie chcieli, i jeden się z nich wymawiał, iż wieś kupił, a drugi pięć jarzm wołów, a inny, iż żonę pojął; gospodarz ów, rozgniewawszy się, kazał słudze swemu wynijsć na ulice i uliczki miasta, a ubogie, ułomne, ślepe i chrome wprowadzić; a gdy jeszcze miejsce było, kazał mu wynijsć na drogi i opłotki, a *przymusić wnijsć*, aby dom był napełniony. Tak się to rozumie, prawił kapłan, iż gdy nieraz ludzie bogaci i rozkosznicy, dogadzający ciału i jego pożądlivościom, usuwają się sami od kościoła i jego łask i dobrodziejstw, to wy, biedacy, niegdyś ułomni i ślepi i chromi, to jest nie poznający Boga i nie chodzący drogą Jego przykazań, wezwani bywacie na wieczerzę niebieskiego gospodarza, przypuszczeni bywacie do stołu Pańskiego i do używania wszystkich dobrodziejstw niebieskich.

A gdyby mędrcom światowym udało się było tak całą podejmować ludzkość, tak ją podnosić, nauczać, kształcić, to jakżeby to z dzieła swego przechwalali się przed ludźmi. Z tego to ogni-

ska światła i prawdy rozechodzą się jasne promienie na wszystkie strony, wszystkich dosięgają.

Nie czemu i kapłan powinien zrozumieć wysokie swoje stanowisko, a jeżeli ma godnie spełnić jego zadanie, winien znać dobrze potrzeby i niedostatki swego czasu, nabytki i skarby tegożczesnej społeczności. Jeżeliby zaś sam zastygł i zagrzął w błocie światowości, a nie wiedział i nie znał, co się na około niego dzieje, wyszedłby na wodza ślepych, a byłby *jako lud tak i kapłan*.

Serce niejednokrotnie zboleć musi, gdy kapłan pleban rozgląda się bacznie pośród ludu swego. Wszystkim potrzebom sam jeden starczyć nie może; *lepiej dawać niż odbierać*, powiedział Chrystus: *lepiej dawać niż zebrać*. Sercem więc ledwie starczyć może potrzebom braci, a płakać z płaczącymi, boleć z bolejącymi, cierpieć z niedostatecznymi musi. Gdy niema szkoły, kapłan największą czuje jej potrzebę. Chęć do nauki budzi się przez naukę, głupiemu i z jego głupstwem dobrze, owszem *głupie mądrością gardzą*, mówi Pismo Święte. Niema szpitala, niema lekarza, niema umiejętnej akuszerki, a tu codziennie śmierć nowe zabiera ofiary. Patrząc, jak młode kobiety najczęściej przy pierwszym połogu, przez niewiadomość i ślepotę umierały nagle, serce pęka z żalu i bólu.

Ksiądz Świętosław na to szczególną zwrócił uwagę. Nie pojmie, kto nie doświadczył głupiego narowu i ślepych nawyknień naszych włościan; święte nawet słowa kapłana, jak groch od ściany, odbijają się nieraz od ich serca.

Ileż to pracy nie zażył cierpliwy pleban, żeby ich powstrzymał od gorzałki przy każdej lepszej sposobności, a tém więcej, żeby tego ukropu nie dawali młodym niewiastom przy rodzeniu dzieci.

Wezwany raz i drugi do młodej umierającej przy połogu niewiasty, ksiądz Świętosław pilnie dociekał, jaka być może przyczyna śmierci przedwczesnej tak młodej i pięknej kobiety. Jeden wypadek na karb jakiegoś nieszczęścia zaliczył; lecz gdy niebawem w krótkim bardzo czasie drugi i trzeci nastąpił, pilniejszą zwrócił uwagę, a dopełniwszy religijnych obrzędów, badać począł pilnie przyczyny choroby.

Widział u wszystkich młodych kobiet jakieś rozognienie w twarzy i nadzwyczajną gorączkę.

— Co dajesz chorą za napój? zapytał usługującej baby.

— Nic, dobrodzieju, odrzekła; jak zwyczajnie dałam jej kapeczkę gorzałki z miodem i tłustością.

— Jaką też kapeczkę, pokaż mi naczynie, zapytał kapłan.

— Tę oto szklaneczkę, co może kwaterki nie będzie.

— I cóż to mało, rzekł kapłan żywo poruszony, kobiecie zgorączkowanej już bólami porodu, dać kwaterkę gorącej gorzałki?

— Aleć, dobrodzieju, gorzałki nie będzie może półkwatka, boć smaży się tłustość i przydaje miodu; to gorzałki nie tak dużo.

— Czy masz rozum, kobieto, żeby młodej niewieście w chorobie dawać rozpaloną gorzałkę z tłustością pewnie jeszcze nieświeżą i zgorzłą, rzeknie ksiądz pleban.

— A cóżby jej, dać, mój dobrodzieju; toć już kilkanaście lat usługuję przy takich kobietach i zawsze im daję gorzałkę, odrzekła baba.

— A ileż też przez ten czas kobiet umarło? zapytał pleban.

— Która miała umrzeć, to umarła, odpowie baba; a innym przecież nic nie szkodziło.

— A wiesz ty, kobieto, że przy połogu żadna, ledwie jedna z tysiąca, umiera niewiasta, rzeknie ksiądz Świętosław, i to pewnie bez winy jakiegóż człowieka nie jest. A więc uważ sama, ileż to ty już kobiet przez swoją głupotę i niewiadomość na tamten świat wyprawiła!

— Mój dobrodzieju, któż tam temu winien, że która umrze; toć śmierć i żona od Boga przeznaczona, gadają ludzie, odpowie baba.

— Tak zapewne, śmierć jest od Boga przeznaczona, odpowie kapłan, ale i ludzie nierzadko ją przybliżają. Jak kobiecie po połogu podasz gorącą gorzałkę, a prawie zarzewia należesz jej do piersi, cóż dziwnego, że młoda krew rozpala się płomieniem, a gorączka gwałtowna prędko ją strawić musi? Upominam cię więc, rzeknie stanowczo i z powagą ksiądz Świętosław, żebyś mi żadnej kobiecie przy połogu gorzałki jakiej-niebądź, czy z miodem, czy z tłustością dawać nie ważyła się; gdybyś zaś kiedy przestąpiła ten mój rozkaz, a ja przyjechawszy do chorą z Sakramentami świętymi, przekonałbym się, że z twojej przyczyny jaka umarła po połogu ko-

bieta, musiałbym cię natychmiast odesłać do sądu po ukaranie; za przyspieszenie śmierci, a prawie zabójstwo poszłabyś do kryminału, i więcej przy chorych znajdować się nie mogła.

— Mój dobrodzieju, niech mię Bóg broni! już tego nigdy nie zrobię, odpowie baba, tak tam zwyczajnie zawsze się robiło, bo się robiło.

— Chorą kobiecie po połogu, dodał kapłan, powinnaś podać szklankę lekkiego rumianku, lub kleiku, a przez trzy dni prawie nie jeść niedawać, póki się gorączka nie uspokoi. Nigdy zaś nie dawać nie rozpalającego, ani gorzałki, ani piwa, ani wina, bo to powiększa gorączkę.

— Dobrze, mój dobrodzieju, zawsze tak czynić będę, jak mię dobrodziej nauczył, dopowie baba.

Cóż znów za zdziwienie ogarnęło księdza Świętosława, gdy na trzeci dzień wprowadziwszy do kościoła na nabożeństwo ciało tój samej młodej kobiety, którą trzy dni temu chorą przy połogu na śmierć przygotowywał, powiedziano mu w zakrystyi, że twarz jój cała czerwona, a musi to chyba być upiór lub strzyga.

Zabolał i tu kapłan nad niewiadomością i grubemi przesądami ludu. Dowiedziawszy się już, iż zmarła ma twarz czerwoną, wpadł na domysł czyli śmierć nie jest pozorną.

Nie ufając własnemu sprawdzeniu, że we wsi był żyd cyrulik, ksiądz Świętosław kazał go natychmiast przywołać; żeby zaś w niczém nie naruszono świętości kościoła, rozkazał ciało wynieść na cmentarz i tam dopiero otworzyć trumnę i obejrzeć umarłą. Tu znów nowe zdumienie ogarnęło kapłana, gdy ujrzał twarz umarłej wprawdzie czerwoną, ale oprócz tego całą obsypaną makiem, szczególnie zaś zasypane makiem usta, nos i uszy.

Zadrzał na ten nowy widok kapłan; wprawdzie śmierć nie była pozorną, a czerwoność twarzy miała pochodzić, wedle zdania owego miejscowego *doktora*, (bo go tak wszyscy włościanie nazywali), z uderzenia krwi do głowy, przy mocnym zapaleniu płuc. Niewątpliwie rozpalona gorzałka sprowadziła tak straszną chorobę, a za nią śmierć tój młodej kobiety. Lecz obsypanie zmarłej makiem zwróciło uwagę plebana. Gdy zaś na około trumny stanęła gromadka ciekawych na nabożeństwo przybyłych, ksiądz Świętosław zaraz rozpytywał ich zaczął.

— Powiedźcie mi moi ludzie, co się to zna-

czy, żeście tak tój zmarłej kobiecie nasypali maku w gębę, nos i uszy?

Najstarszy z pośrodku gromady wysunął się Wojciech sołtys, i rzekł: Dobrodzieju, tak to zawsze robią ludzie, gdy kogo posądzają, że po śmierci jest upiorem lub strzygą. Czasem jeszcze w trumnie przewracają twarz do dna trumny, a jak się pokazuje i straszy ludzi po śmierci, to mu i głowę siekierą kamienną obcinają.

— O, moi ludzie kochani, rzeknie ksiądz pleban, smutno mi bardzo, że w takiej jeszcze grubej żyłce nieświadomości i błędach. Żebyć ta wasza nieświadomość nikomu nie szkodziła, to by znośniej było; lecz czy wy wiecie, jakiej możecie się w tej niewiadomości dopuścić zbrodni.

— Dobrodzieju, wcale nie wiemy rzeknie sołtys; cóżby tu za zbrodnia być mogła nasypać umarłemu w gębę maku, lub upiora przewrócić twarzą w trumnie, a choćby mu i uciąć głowę?

— O i wielka zbrodnia być może, ludzie moi. Umarłemu wprawdzie nieby to nie szkodziło, jak nie zaszkodziło tój oto zmarłej kobiecie. Lecz gdyby ona, wasza synowa, Wojciechu, nie była prawdziwie umarła, ale pozostawała w le-targu, to jest w pozorniej śmierci, to czyżby jój nie szkodziło, żebyście jój zasypali makiem wszystkie otwory oddychania i usta i nos i uszy?

— O zapewne, mój dobrodzieju, rzeknie Wojciech, żywcem człowiekowi zasypać makiem gębę i nos i uszy, toczy natychmiast się udusił i żyć przestał, nie cóż dopiero gdyby mu kto uciął głowę.

— A więc widzisz mój Wojciechu, że to nie mała rzecz, że to zbrodnią być może zasypać w pozorniej śmierci zostającego człowieka makiem, przewrócić go twarzą w trumnie lub odciąć mu głowę, boć wtenczas zabijasz bliźniego i skrucasz mu życie.

Były zdarzenia, moi ludzie, że w takim le-targu zostawali pozornie umarli przez dwa, trzy i więcej dni. Ja nie wierzyłem, żeby wasza nieboszczka synowa była upiorem lub strzygą; bo ani upiorów, ani strzyg nie ma na świecie: kto raz umrze z tamtego świata nie powróci, chyba na sąd ostateczny. Dla tego też, kto wierzy w upiory, strzygi, strachy, ten obraża Pana Boga, i ciężko grzeszy. Sądziłem więc, kiedyście mi powiedzieli, że twarz zmarłej cała czerwona, iż zostaje ona w pozorniej śmierci i dla tego po-

słałem po cyrulika, żeby to sprawdził. Pokazało się, że rzeczywiście umarła na zapalenie płuc i uderzenie krwi do głowy, i ztąd pochodzi ta czerwonosć twarzy. Gdyby jednak nie była umarła, czylibyście jęj waszym makiem nie udu-sili?

— Tak, dobrodzieju, to prawda, wielka prawda, rzekną wszyscy przytomni.

— Że też to ludowina tak mało ma rozumu, a co widział, że drudzy czynili, czy to dobre, czy złe, ślepo to czyni, dodał Wojciech.

Po odprawionym pogrzebie jeszcze się ludzie zeszli do księdza plebana, żeby się uspokoić po takim wydarzeniu.

— Ale, zapozwoleniem, mój dobrodzieju, jakże to niewierzyć w upiory i strachy, zapyta Maciejowa, kiedy tyle ludzi o nich powiadają, a nieraz słyszyć można, jako tu i owdzie straszy, ludziom mieszkać nie daje, rzuca kamieniami, i tym podobne rzeczy wyrabia? Czasem i nabożeństwo ludzie sprawiają, i księdza proszą do poświęcenia domu, a złe ustąpić nie chce.

— Tak, moja dobra Maciejowa, powie ksiądz pleban, i ja o tem nieraz się nasłuchałem, i mnie w dzieciństwie nastraszone dosyć, i podczas gdy jestem kapłanem nieraz ludzie mi coś podobnego opowiadali; jednak w upiory ani strachy nie wierzę, bo tego święta religia zakazuje; pod temi zaś wszystkimi strachami najczęściej skrywa się złośliwość, niekiedy pustota ludzka. Opowiem wam parę wydarzeń, które są rzeczywistą prawdą, a z tego i o innych sądzić możecie.

Była jedna bardzo wielka i bogata pani; a lubo już i dzieci miała dorosłe i dom okazały i czeladzi niemało, pozbyć się nie mogła nawyknień i pustoty młodości swojej. Nie wierząc sama w żadne strachy, przemyśliwała jeno o tém, jakby kogo przestraszyć mogła. Różne więc wymyślała fortele straszenia gości, czeladzi i domowników. Razu jednego przyjechał jęj syn najstarszy ze szkół na święta, a gdy nacieszył się dosyć z ojcem i matką, późno w wieczór udał się do osobnych pokojów na spoczynek; lecz kiedy zasnął głęboko, budzą go jakieś głosy wrzaskliwe słyszane pod oknem, a niedługo coś silnie do okna szturmować poczęło. Młodzieniec rozmarzony snem głębokim, zrywa się z łóżka, a gdy dobijanie się i piskliwe głosy nie ustają, odgraża się strachowi: „idź precz, bo w łeb wypalę.“

Gdy zaś strach niewczesny nie tylko swych figlów nie zaprzestawał, ale jeszcze silniej do okna dobijać się począł, niewiele myśląc nierozważny młodzieniec, porwał za strzelbę wiszącą nad jego łóżkiem i wypalił tam, z kąd głosy owe wychodziły.

Jęknęło coś i upadło po strzale, i doszedł go zamierający głos: „nieszczęsny! własną zabiłeś matkę.“

Jakoż zerwał się młodzieniec i wyskoczył z łóżka; na strzał słyszany zbiegła się czeladź, i ową nieszczęsną matkę zastali bez duszy we własnej krwi broczącej.

— O mój dobrodzieju, cóż to za okropne! syn zabił własną matkę, powie Maciejowa.

— Tak to widzicie sami, jakie to pustota nieraz sprowadza na ludzi nieszczęścia, powiedziała ksiądz Świętosław. S.*

DZIECINNE LATA

Wiejskiej Dziewicy.

Jakże jęj drogie siedlisko rodzinne!
I z niém związane wspomnienia dziecinne!
Tu, niegdyś łącząc drobniuchne rączka
Z młodzieńczą dłonią lubego sąsiada,
Biegła nad źródło—powitać pisklęta.
Czuć, jak ich matka, z przybycia jęj rada,
Gdy w pulchnęj dłoni przyniosła karm z muszek.
I żer obfity, z mrówczanych poduszek.
Potem, konwalję rosnącą nad zdrojem,
I niezabudek lazurowe oczy,
Skrapia jak rosą, źródlanym napojem,
Co niby wstęga u stóp się ich toczy.
Z gaju wracając do ojcowskiej strzechy,
Doznaje dziewczę anielskiej pociechy,
Gdy wywołany z niskich chatek kmieci,
Już ją okrążył rój wioskowych dzieci.—
Ona, malutkim, rozdaje pierniki,
Hożym dziewczętkom—wstążki i grzebyki;
Chłopczęta biorą nożyki z fartuszką;
Płoną im lica i biją serduszka...
Ojciec, już czekał jęj ustek—na ganku;
Kazał jęj upleść wianeczek z tymianku,
Z listków barwinku i nieśmiertelników
I poprowadził na groby naddziadow—

Prawdziwój cnoty i wiary przykładów,
Do tych wiekowych pamiątek pomników:

I już pod krzyżem dwie piękne postacie,
Kłęczą na grobach — na życia zatracie.
Poważny ojciec wyciągnął ramiona,
Jakby przemocą chciał sięgnąć do nieba;
Jój, drobna rączka, na sercu złożona,
Świadczy, że tylko miłości jój trzeba.
A jednak z łona postaci tak szczytnych,
Tonąc, aż w morzu niebiosów błękitnych,
Dwie jasne wstęgi modlitwy gorącej:
Jedna, świetnością słoneczną promienna,
Druga, jak jasność jutrzeńki—bezsenna,
Zlały się w strugę—miłości modlącej,
Aż u stóp tronu, górnego Syonu!
I żebrzą Stwórcę o szczęście tój ziemi,
W której wnętrzościach proch ojców spoczywa.
I której święta, chlebodawcza niwa,
Wykarmi dzieci—piersiami pełnemi.

Już powstał ojciec—na rumiennem czole,
Ciepły nadzieją pocałunek złożył;
Radość dziewczęcia bez końca pamnożył,
Gdy w uścisk matki dał drobne rączęta.
Ta, swego gniazda jedyne sokole,
Najprzód, znakami błogosławi krzyża,
Pulchny buziaczek do ust swych przybliża,
I nasypała w fartuszek przenicy;
Bo za nią tęsknią piskliwie kurczęta.
Otwiera spichrze, schodzi do piwnicy,
Idzie do krówek, by widzieć zbiór mleka,
I do pasieki zabiega w pośpiechu;
Jeszcze chce wiedzieć, czy swawolna rzeka,
Nie wzięła dani z obfitego blechu?
A wszędzie z matką podąża dziewczynka,
Szczęsna i krasna jak pulchna malinka.

Antoni Sosnowski.

CO TĘŻ SŁYCHAĆ W WARSZAWIE?

(Opowiadanie rzemieślnika.)

O nieuczciwych cenach w niektórych handlach;—O zanie-
daniu się rzemieślników;—O bawarze; — Jeszcze o sługach
i o strasznym mordercy.

Powiada przysłowie, że złe nigdy samo jedno
nie przychodzi; pociąga ono zwykle za sobą sze-
reg smutnych lub przykrych następstw, co jak
szarańcza ciągną na utrapienie człowieka. Tak

tęż ma się rzecz i z ogólném upadaniem poczci-
wości i sumiennosci, co inaczéj niemoralnością
zowią. Już nieraz o tém wszystkiem pisałem i
ubolewałem nad nieuczciwością wielu tu han-
dlujących, rękodzielników i przedsiębiorców.
I tak pójdziesz na jedną ulicę, to ci każą zapła-
cić więcéj za towar niż na drugiej ulicy, choć
towar jest ten sam, a tylko handlujący są inni;
pójdziesz do prywatnej piekarni po chléb lub
bułki, to za ten sam pieniądz dadzą ci je daleko
mniejsze, niż np. w składach piekarni bankowej;
a przecieź żyto i pszenica ta sama, tylko handlu-
jący są inni! Zawołasz jednego zduna do popra-
wienia pieca lub kuchni, to zażąda trzy razy
więcéj zapłaty niż zdun inny, żyjący na uboczn
i równieź dobry jak tamten. Pójdziesz do jednej
drukarni, to zażąda od ciebie daleko więcéj za
druk jakiej książki niż w innej, gdzie równie do-
brze drukują. Jedno tylko obuwie i to głównie
obuwie kobiece wszędzie prawie jest lichy uszy-
te i coraz droższe. I tak np. znajoma moja ma-
tka pięcioletniej dziewczynki, poszła za kupnem
dla niej prunelowych bucików; nachodziwszy się
po bruku warszawskim, znalazła w jednych skle-
pach trzewiki obszywane z boków i w końcach
ceratą zamiast skórą lakierowaną;—w drugim
sklepie widoczne szycie na maszynie nie zapo-
wiadało żadnej trwałości; aż nareszcie znalazłszy
takie, które uważała za lepsze, musiała zapłacić
za parę rs. 1 kop. 65, i to dla pięcioletniego dzie-
cka! Powiedzcież sami, czyż to jest sumiennosc?
Cóż to upoważnia do takiego obdzierania ludzi!
I męzkie obuwie coraz i coraz droższém się sta-
je, a choć przecie chléb nie podrożał, jednak
pięć rubli za kamaszki, to już zwyczajna cena.
I myślałby kto może, że owi rzemieślnicy zbie-
rając pieniądze, pomyślą o czémś takiém, co by
za lada jakie pieniądze mogło uprzyjemnić
prawdziwie życie, lub posłużyć do dobrego wy-
chowania dzieci, do z bogacenia serca i upiększe-
nia obyczajów? Gdzie tam! pożaluje z nich nie-
mal każdy dziesiątki, czy w niedziele i święta
obejrzeć śliczne obrazy, jakie nasi malarze na
Wystawę tutejszą dają; — żal im i kupić dobrą
i zajmującą książkę dla siebie i dzieci; — żal im
złotówkę na miesiąc poświęcić, by za nią jakie
pismo tutejsze odbierać. Są prawda wyjątki, ale
cóż to znaczy na taką liczbę rzemieślników, któ-
rych jest w samej Warszawie przeszło siedm ty-
sięcy! Jeden tylko bawar zyskuje na tém: po
bawaryach i szynkach i knajpach zakopconych

dymem sypią się hojnie nie tylko dziesiątki ale złotówki i ruble co wieczór. Tam naszych rzemieślników znajdziesz zawsze i mnóstwo jak maku. Nawet do Gabinetu, czyli Wystawy wpychanych zwierząt, ptaków i ryb przeróżnych gatunków, w Kazimierowskim pałacu nie lubią ucześnieć; choć, tam nawet nie się nie płaci, a wielu wiadomości użytecznych nabyć można.

Tak to, bracia moi koledzy, pomyślmy tylko szczerze, czyż to nie grzech ciężki takie zaniebdanie i sumiennosci i własnej głowy i serca,— i czyż powinniśmy się gniewać na to, że nas ukształceni stany tak nisko uważają, kiedy my sami w wiecznym błocie—jak żaby siedzimy?

Otóż, powiedziałem na początku, że złe nigdy samo nie przychodzi. Zaprawdę, aż boleśnie wspomnieć o tém, wiele to samobójstw, kradzieży popełniono w tym roku w Warszawie, wielu się to rzezimieszków i złodziei z pańska ubranych natworzyło tu u nas. Tak też już wypada prawie, że jeśli masz z kim jaki interes, to musisz się mieć na wielkiej baczności, by cię jak to mówią nie oszukano: pracujesz z kim razem, to strzedz się musisz, by cię nie oszkalowano lub nieuniżano w złym celu przed zwierzchnikiem. Dajesz coś do roboty, to nie idzie chrześcijańska umowa, jak brata z bratem, ale jakby to między dwoma nieprzyjaciołmi toczyła się sprawa. Boć przecie niech tylko każdy z nas sobie przypomni, z jaką to bacznością musi coś kupować, jak nie może zdradzać gorącej chęci w kupnie; jak nie jeden do kłamstwa się udaje, aby tylko więcej wytargować na drugim. A to wszystko nie jest dowodem i sumiennosci i godności człowieka. O! kiedyż nastaną te czasy, gdy człek tylko według wartości nabywać będzie przedmioty, tak, by one tylko godziwy zysk, uczciwy procent przynosiły w handlu.

Jakie zaś jest zepsucie straszne pomiędzy tutejszymi sługami, to już nieraz przytaczałem dowody; ale cóż kiedy te dowody nie ustają bynajmniej. Już to między rodzajami sług najgorsi i najniebezpieczniejsi są *nowomodni* lokaje; na to każdy z nas się pewno zgodzi; w samej Warszawie dość już w różnych latach było przykładów okradzenia, a nawet zamordowania państwa przez lokajów. Lokaj nowomodny każdy prawie jednego jest kroju; w sercu brak religii, w głowie ciemno i tylko łańcuszek u zegarka jaśnieje,

a nieuczciwość czarnym się tużurkiem okrywa. Są tu prawda, wyjątki, ale jakże małe! To też świętej pamięci Zacharkiewicz, pisarz Sądu Najwyższego, dwa razy napadany z zagrożeniem życia przez lokajów, umierając, wyznaczył kapitał, od którego procent przeznaczył dla uczciwych lokajów i kucharek za długotrwałą na jednem miejscu i nieskazitelną służbę. Procent ten rozdziela tutejszy magistrat co rok w dzień Śgo Józefa, jako w dzień imienin nieboszczyka,—jednego roku dla uczciwych lokajów, drugiego dla uczciwych kucharek. Oby jednych i drugich jak najwięcej się mnożyło!

Ale wracając do owych lokajów, którzy mimo powierzchowności przywoitęj nikczemne noszą serce, musimy tu wspomnieć o owym zbrodniarzu Janie Grodowskim, który w zeszłym tygodniu w Środę o godzinie 6ej rano zamordował swych państwa, staruszków, małżonków Roszkowskich, mieszkających przy ulicy Szpitalnej. Dokonawszy morderstwa dla skradzenia pieniędzy państwu, znalazł tylko w biórku 13 groszy; bo to, czego szukał, schowane było dobrze, gdzie indziej. Dziś ujęty w Warszawie przez policję, przyznał się na badaniu, że trzy razy już w swém życiu próbował zabić posiadaczy znacznych pieniędzy, a między niemi i tych, u których służył, ale mu się nigdy nie udało. Ostatnią razą, biorąc siekiere dla odebrania życia swemu państwu, przygotował sobie flaszkę z wódką i popijając, chciał zalać robaka sumienia, który go dręczył nielitościwie na samą myśl spełnienia zbrodni. Był on w życiu bezbożnym, zasad pocziwych nie posiadał w swém sercu, a ztąd bez religii i wychowania przykładowego wy kierował się na zbrodniarza, który teraz zasłużoną poniesie karę. Cóż to za nauka dla nas i w szczególności dla państwa, aby człowieka bez dobrego imienia i świadectw nie przyjmowali do usług.

Z A G A D K A.

Co to jest?

Z jednej strony końce zgięte,
Z drugiej strony w pierścień zgięte;
Choć dwie części,—jedna dusza,
Co je wspólnie działać zmusza.
Tak przejęte na wskróś, w zgodzie,
Służą ludziom ku wygodzie.

Znaczenie poprzedniej zagadki: — (Kula.)